Rok II. Kraków, dnia 1go Sierpnia 1870. Ner 15.



wychodzi 1go i 16go każdego miesiąca.

PRENUMERATA: wynosi rocznie 4 złr. lub 2 tal. 15 sgr. — Półrocznie 2 złr. lub 1 tal. 8 sgr. — Kwartalnie 1 złr. lub 20 sgr.
LISTY I PRENUMERATĘ przesyłać należy pod adresem: Do redakcyi „Włościanina“ Ulica Gołębia wyższa Nr. 169, 2 piętro.
OGŁOSZENIA przyjmuje się po 4 centy za miejsce drobnego wiersza, z dopłatą 30 cent. za stempel, za każdorazowe umieszczenie.

FELICYJAN KONSTANTY SZANIAWSKI,

BISKUP KRAKOWSKI.

W Krakowie przy ulicy Wiślnéj, gdzie dzisiaj jest rządowa kasa, była dawniéj bursa czyli zakład, w którym mieszkała młodzież ze swojemi nauczycielami. Podobnych zakładów w Krakowie było więcéj; dzisiaj jest tylko jeszcze jeden przy kościele św. Barbary, gdzie pod dozorem senijora czyli starszego przełożonego mieszka uboga młodzież. W bursie przy ulicy Wiślnéj byli prawie sami biédni uczniowie, chociaż znalazłeś między nimi i synów bogatych rodziców, którzy ich tam umieszczali w tym celu, by ich koniecznie przyzwyczaić do pracy, nauki, rygoru i porządnego życia. Do téj tedy bursy oddano także małego Felicyjana Szaniawskiego, urodzonego na Litwie 24 Listopada 1668 roku. Był on synem Piotra, klucznika województwa Wileńskiego, i Katarzyny z domu Chomskiéj. Rodzice jego byli niezamożni a pochodzili z rodziny Junoszów Szaniawskich, z ziemi Łukowskiéj, leżącéj na pograniczu między Koroną a Litwą. Obszerny ten kawał ziemi nadał przywilejem swoim Władysław Jagiełło sześciu braciom z Szaniaw, od których pochodząca liczna szlachta dotąd nosi rodzinne swe nazwisko i dotąd całe wsi zamieszkuje na Litwie. Mniéj lub więcéj zamożna zajmuje się przeważnie uprawą ziemi i niczém zupełnie nie różni się od zwykłych włościan.

Z takiéj to rodziny pochodził Felicyjan Szaniawski, który w młodości swojéj niezwykłą odznaczał się pobożnością i dla tego przez ojca do stanu duchownego był przeznaczony. Będąc w bursie, od wszystkich był kochany. Pilnością w nauce, wzorowém prowadzeniem się i dobrém sercem rzetelnie sobie na to zasługiwał. Na obiady zaś z garnuszkiem u pasa jako biédny żaczek chodził do klasztoru OO. Reformatów, gdzie także umiał sobie pozyskać miłość i łaskawe względy. Szczególnie lubił go furtyjan, który mu przynosił jedzenie a często lepszą obdarzał go potrawą. Ale bo też Feliś nie cisnął się jak drudzy, ale spokojnie czekał na boku i z pokorną miną przyjmował to, co mu podawano.

* *
*

Pewnego razu, a było to w święto Matki Boskiéj, przyszedł Feliś jak zwykle z garnuszkiem u pasa i stanął spokojnie przy furcie. W tém obaczył go furtyjan i mówi:

— Dzisiaj pójdziesz, mój Felisiu, do refaktarza, gdzie jé obiad wiele dostojnych gości. Przedstawię cię niektórym panom, a zresztą dostaniesz lepszych potraw, bo ich jest na tyle...... wszak mamy odpust...

Grzeczny chłopczyna podskoczył z radości i szedł ochoczo za zakonnikiem. Wszedłszy do refaktarza, obaczył wielki stół, przy którym oprócz poważnych zakonników i braciszków czytających głośno nabożne księgi, siedzieli dostojni panowie i wiedli rozmowę o najżywotniejszych sprawach. Pomiędzy nimi znajdował się także pan starota Łętowski, szlachcic staréj daty, poczciwiec jak to mówią z kościami, i narzékał, że młodzież źle się prowadzi, bo ma wielkie upodobanie w lenistwie a nienawidzi pióra i książki.

O, zacny panie starosto!—przerwał furtyjan—tacy uczniowie, jak ten (wskazując na Felisia) nie zrobią zawodu, bo się sprawują należycie!....

Na te słowa pokłonił się Feliś przystojnie, pocałował starostę w rękę i stał nieruchomo. Starosta zmierzył chłopca z miłym uśmiechem. Był czysto, choć ubogo ubrany; włosy gładko uczesane, twarz i ręce umyte, buciki oczyszczone, a pod pachą miał książkę do nabożeństwa, starą, ale porządnie utrzymywaną. W całéj postawie widać było łagodność, skromność, owe piękne cnoty, które łatwo ująć potrafią.

Na piérwsze wejrzenie spodobał się chłopiec staroście.

— A zkądej ty rodem i jak się nazywasz? Powiédz mi prędko a patrz śmiało w oczy! — zawołał niby to groźnie pan starosta.

Niezmięszany Feliś zaraz odpowiedział:

— Rodziłem się w Łukowie na Litwie. Nazywam się Felicyjan Szaniawski; jestem synem Piotra, klucznika województwa Wileńskiego i Katarzyny z domu Chomskiéj....

— A hultaju! — rzekł starosta — toś ty Litwin! A widziałeś ty Warszawę?...

I to mówiąc podniósł chłopca za czuprynę w górę, że mu aż świéczki stanęły w oczach.

Feliś jednak ani głosu nie wydobył, ani nie zmięszał się wcale.

— Ha, to z ciebie łepski chłopak! — zawołał starosta i dając mu dukata, powiedział:

— Masz tu na książki, a ucz się, mospanie, co się zowie! Gdy zostaniesz biskupem Krakowskim, pamiętaj, ażebyś mi wypuścił klucz radłowski!...

Szaniawski podziękował pięknie za datek dobroczynny, wlał sobie reformacką zupę do garnuszka, wziął podane sobie potrawy, pokłonił się grzecznie i wyszedł z refektarza.

Niebawem skończył się obiad; zaproszeni goście pożegnali się z gościnnymi zakonnikami i rozjechali się do swych domów. Każdy zapomniał o młodym Szaniawskim, ale on nie zapomniał o swym dobroczyńcy. Wieczorem klęknąwszy przy swém łóżeczku, tak się modlił do Boga:

— Mój Boże i Panie! znasz mię biédnego; znasz moje położenie, wiész, że chęci mam dobre, by się wywdzięczyć tak zacnemu mężowi, ale teraz nie mogę. Wynagródź ty więc za mnie, Ojcze miłosierny owę dobroć serca, albo mi pomóż, abym w przyszłości mógł mu się odwdzięczyć... Błogosław mi w życiu, bo ubodzy moi rodzice nie mogą mię wspiérać, bo sześciorgiem dzieci są obarczeni; krzep moje siły, będę pracował wśród niedostatku, przeciwności i tysiącznych przeszkód, abym wyrósł na pociechę Twoję i pożytek ludzi. Ojcze mój, dopomóż żebrzącemu!..

* *
*

Szaniawski lubo zawsze był pilnym, od owéj chwili w refektarzu, podwoił swą pilność, uczył się coraz więcéj, a chociaż koledzy jego wyśmiewali się z jego usilności i wzorowych obyczajów, nie zważał na to zupełnie, ani się zrażał ubóstwem rodziców, lecz wytrwale szedł naprzód, by być pociechą swych rodziców, by się koniecznie odwdzięczyć staroście Łętowskiemu.

(Dokończenie nastąpi.)

ŚPIÉWKA DZIEWCZYNY.

Och śpiéwam ja śpiéwam, ja wiejska dziewczyna....
Po nad moją głową nuci téż ptaszyna;
Takie miłe głosy po téj ziemi roni,
Że jéj wtórzyć muszę na zielonéj błoni.

Na niebie szérokiém słoneczko mi świeci,
Choć przy pracy ciężkiéj—czas jak strzała leci;
Tam bydełko ryczy, a w ręku siérp brzęknie,
Gdy spojrzę w około — ach, jakżeż tu pięknie!

Serce się odzywa, tak kołacze w łonie,
Toż stęschniona myślą za Jasikiem gonię....
Ach! on tak daleko, strata jego smuci,
Ale ja się modlę — z Bogiem więc powróci......

Powróci on wkrótce, niech mu Bóg da zdrowie!
Co słyszał daleko, pewnie mi opowie;
Nie zapomni o mnie, na szyję się rzuci,
O, ja wierzę mocno, że on do mnie wróci!...

Przy tym tu gaiku, pod tą tu leszczyną,
Będzie w chatce mieszkał z swą wiejską dziewczyną;
Będzie orał pole, tak jak ojciec stary,
Co za plenne zboże gromadził talary.

Nie zrobi zawodu — w to ja mocno wierzę....
Ej nie marudź, Kasiu, im się siérpa szczerze,
Nie marz o Jasiku, ni co daléj będzie,
Bo to koniczyny dużo na téj grzędzie!..

A ptaszyna śpiéwa, tak mię czegoś kusi,
Że biédna dziewczyna przecie śpiéwać musi;
Spadł wreszcie ptak w zboże, pewnie żéru szuka,
Ja przerywam piosnkę — tylko serce puka...

. . . F. . . . . I.

ZAMEK MELSZTYN.

(Dokończenie.)

— Dziękujemy wam pięknie za owo ciekawe opowiadanie, a ja zaś opowiem wam gadkę o Melsztyńskim zamku, o któréj jeszcze nie słyszeliście. I jął tak opowiadać:

— Przed kilkudziesięciu laty żył w naszéj wiosce niewiadomego mi nazwiska gospodarz, do którego wieczorem przybył raz wędrowny i prosił o nocleg. Gospodarz przyjął go chętnie i raczył czém chata bogata. Potém zaczęli mówić o różnych rzeczach, aż w końcu przyszli na Melsztyński zamek.

— O, mój panie! — powie gospodarz — w naszym zamku są ogromne skarby, tylko trudno je dostać, bo ich biés pilnuje.

— Nic to nie szkodzi! — odrzekł podróżny — przygotujcie jeno latarkę ze świécą, to pójdziemy o

północy po pieniądze do zamku, a ręczę wam, że nie doznamy zawodu.

Uczynił gospodarz jak mu powiedział podróżny, i poszli o północy pod zamek. Stanęli na dziedzińcu zamkowym. Podróżny zrobił laską trzy koła i mówi do gospodarza:

— Wejdźcie teraz ze mną do środka, przyświécajcie dobrze, ale was zaklinam, nie ruszajcie się z miejsca i nie wydajcie głosu, bo gdybyście się poruszyli lub odezwali, to z pewnością źle będzie z wami!

Posłuszny gospodarz uczynił znowu tak jak mu radził podróżny i zachowywał się najspokojniéj. Przyświécał mu latarką, a podróżny dobywszy książkę z kieszeni, czytał na niéj z uwagą długo i spokojnie. Aż tu podczas czytania miały się pokazywać przeróżne strachy: węże snuły się po pod nogi, konie parskały w biegu; woły z ogromnemi rogami ryczały przeraźliwie, a wiatr świszczał i huczał nadzwyczajnie.

Po skończeniu czytania wszystko ucichło. Wtedy dopiéro mówi podróżny do gospodarza:

— Teraz pójdziemy do piwnicy!

I zaledwie się do niéj zbliżyli, drzwi się same otwiérają. Wchodzą do piwnicy, a tu pełno beczek z pieniądzmi różnego gatunku. Koło beczek przechodzi się osoba w czerwonéj czapeczce i zielonym surduciku. Podróżny napełnia swoje kieszenie to złotem i srébrem i przemawia do osoby w zielonym surduciku:

— Dajcie teraz temu gospodarzowi takiego kruszcu, z któregoby mógł żyć przyzwoicie.

Osoba dała mu srébra do worka; podróżny skinął i wychodzą z piwnicy. Drzwi trzasnęły i zamknęły się same.

Kiedy wyszli, rzekł podróżny:

— Pamiętajcie, gdy pójdziemy z góry, nie oglądajcie się wcale, aż przejdziemy rzéczkę, która płynie dołem. Gdy się oglądniecie, to wam znikną pieniądze!

Wtém powstał szum ogromny; kamienie lecą z góry i zdaje się, że się cała góra wali.. Gospodarz nie mógł wytrzymać, obejrzał się i naraz uczuł, że nie ma pieniędzy. Podróżny uczynił to dopiéro za rzéką i nie stracił pieniędzy.

— Macie wasze pieniądze? — pyta się gospodarza.

— Nie, mój panie! — odpowiedział — nie mogłem wytrzymać, oglądnąłem się i coś pieniądze porwało mi z workiem...

— Ha! trzeba było słuchać rady! — dodał podróżny i nie zadługo wstąpił do chaty gospodarza.

Nazajutrz rano wyprawił sutą ucztę, dał gospodarzowi dosyć złota, a pożegnawszy się poszedł w swoją stronę. Gospodarz pomógł sobie témi pieniądzmi, żył szczęśliwie, aż gdy w Boże Narodzenie poszedł do stodoły — nie wrócił już więcéj, bo podróżny zapewnie cytował diabła na duszę owego gospodarza...

I na tém skończył gospodarz swoje opowiadanie o Melsztyńskim zamku.

— I wy temu wierzycie? —zapytałem.

— A czemużbym nie miał wierzyć — odpowiedział — kiedy to jest prawda.... Tak tu u nas wszyscy gadają...

Na to powiem do niego:

— Ludzie nie o jedném gadają, a przecież nie wszystko prawda. Jestto tylko takie podanie. A jest w niém nauka, że gdy gospodarz nie jest wytrwałym w swojéj pracy, nie dogląda jéj należycie, ale zraża się do niéj różnemi przeszkodami, a nadto odrywa się od niéj, do niczego nie doprowadzi.

Mówiliśmy jeszcze długo o Melsztyńskim zamku, dla tego téż późno poszliśmy na spoczynek.

Rano ruszyłem w drogę i ciągle sobie myślałem o owych starożytnych zwaliskach i o pięknéj przeszłości tego zamku.

J. Ch.

CUDOWNE OCALENIE.

Zdarzenie prawdziwe z roku 1551.

Osostów, majętność Macieja Stryjkowskiego, niezwykłą odznaczał się zamożnością. W pięknym dworze znalazłeś nie mało złota i srébra i innych kosztowności; opodal piętrzyły się brogi zboża, w oborach piękne widziałeś bydło, w stajniach liczne były konie, — a przecież państwo Stryjkowscy ciągle smutni, ciągle zadumani. Czy może jaka klęska rodziny czarnemi chmury zasępia ich czoła? Czy może jakie przeczucie nieszczęścia owłada ich umysł? O nie, im innego niedostaje szczęścia. Trapią się, bo nie mają dzieci, a któż ma być dziedzicem ich posiadłości? Któż ma im w starości zamknąć powieki?

Te myśli raniły ich zawsze głęboko — ale niezachwiana w sercu wiara i nadzieja dodawały im hartu, że na duchu nie upadli.

W którą udałeś się z Osostowa drogę, wszędzie przy niéj obaczyłeś krzyże i figury, w każdém cudowném miéjscu bogate od Stryjkowskich dary.

— Boże! — mawiała nieraz pani Stryjkowska— wielką obdarzasz nas fortuną, ale ona nie daje sercu pociechy. Niema w domu naszym anioła, którego słodki uśmiéch opromieniałby lica nasze. Daj nam w życiu dożyć tego szczęścia — bo to, co mamy, pewnie nam obrzydnie. A jeźli nasz dom przeznaczyłeś na przybytek smutku i zmartwienia, niech się stanie wola Twoja! — dodawała zalana łzami.

I ulitował się Bóg nad domem państwa Stryjkowskich. Urodził się niebawem nadobny synek. Jakie wesele brzmiało wtedy w Osostowie, tego opisywać nie potrzeba. Uszczęśliwieni rodzice myśleli, że z ziemskiéj dolegliwości znaleźli się w prawdziwym raju szczęścia i pociechy. Zdawało się ich oczom, że syn co godzina piękniejszy, co godzina większy i silniejszy. I rzeczywiście zaledwie chłopczyna piérwszemi krokami zmierzał obszerne komnaty, zaledwie piérwsze wydawał słowa, już każdego zachwycał swoją przytomnością, żywością i dobrocią. Rodzice strzegli go jak oka w głowie, chcieliby wszelkiemi sposobami przyciągnąć dla niego przyszłość, aby się przekonać, czy będzie prawdziwą ozdobą ich imienia, rzetelną chlubą ich rodu....

* *
*

Było to wieczorem w sierpniu. Przed modrzewiowym dworem, pod rozłożystą lipą na darniowéj kanapce siedzieli państwo Stryjkowscy i z przymileniem przyglądali się zabawom swojego synka, który już zaczął rok piąty.

Marzyli o swojém szczęściu, o przyszłości dziecka. Chłopczyk bawił się z początku u stóp rodzi-

ców, potém odbiegł od nich na obszerny dziedziniec, bo tam czekały na niego dzieci służących jego rodziców. Dowcipny chłopczyk żartował z niemi, następnie tańczył i skakał, a w końcu powiedział:

— Teraz będziemy się bawili w wojsko. Wy będziecie żołnierzami a ja waszym hetmanem. Co każę, słuchać mię macie, inaczéj odstąpcie od zabawy!

Dzieci panicza kochały, więc każde jak mogło starało się czynić zadosyć jego woli, aby tylko nie popsuć zabawy. Panicz jednak nigdy nie był oprysklíwym, zachowywał się zawsze przyzwoicie, nikomu nie dokuczył.

Ustawił tym razem wszystkie dzieci w bojowym szyku, chodził z niemi po podwórzu i wykrzykiwał wesoło.

— Teraz za mną waleczni żołnierze! — zawołał na dzieci i pobiegł do sadu, aby tam po gonitwach stoczyć walną bitwę.

Szczęśliwi rodzice zostali na ławeczce.

Tymczasem przeraźliwy krzyk z ogrodu rozległ się w około.

W różne strony rozbiegają się dzieci i głośno płaczą.

Przelękniona pani Stryjkowska wymijając męża biegnie co sił tylko starczy; serce jéj bije gwałtownie, jakby przeczuła okropne nieszczęście. Drżący mąż spieszy za nią....

— Gdzie panicz na rany Chrystusa? —pytając zawołał za strwożonemi dziećmi a okiem jak błyskawicą spoglądał po sadzie.

Ujrzawszy go dzieci, chowały się w trawie, za krzakami, inne przez płot uciekały.

— Gdzie panicz? — powtórzył rozpaczliwym głosem.

— Panicz utonął w sadzawce! — zawołało któreś z boku.

W jednéj chwili był pan Stryjkowski nad sadzawką. I nie zastanawiając się zupełnie, wskoczył w głęboką wodę, a żona jak posąg blada stanęła nad brzegiem.

Zanurza się pan Stryjkowski raz i drugi, ale na próżno; nigdzie ciała się nie dotknął. W tém wypływa na powierzchnię mały chłopczyna, ojciec chwyta go co rychléj i na brzég wynosi.

Poczciwa matka bierze go na ręce, tuli do piersi i mówi:

— Cóż ci się stało kochane dziécię? Ktocię wepchnął do sadzawki?

Chłopczyk nie wydaje głosu. Bierze go ojciec, przemawia słodko do niego, lecz chłopiec jakby nie żywy. Głaszcze go ojciec a ciało coraz zimniejsze, zdaje sie, że krew krążyć przestała.

— O Matko Boska! pociesz nas w utrapieniu!— zawołała pani Stryjkowska i co prędzéj spieszy za mężem do dworu.

Zbiegają się ludzie, załamują ręce; każdy cuci, tuli i ogrzéwa. Co kto powié, rodzice próbują, co kto przyniesie, wszystko przykładają, lecz chłopczyna nie daje znaku życia.

Przybywa nakoniec ksiądz proboszcz i przywodzi lékarza. Co tylko można czyni lékarz; zwolna naciéra — ciało chłopca coraz więcéj sinieje, blednieje, coraz to zimniejsze.

— Ratuj nas Trójco przenajświętsza! — woła ojciec rwąc sobie włosy na głowie.

— Cóż pocznę teraz nieszczęśliwa kobiéta! — wyrzéka zbolała matka.

— Boże! dodaj siły, bo od zmysłów odchodzę! Bije głową o ścianę, w duszy czyni śluby panu Bogu, potém patrzy na ciało chłopczyny, lecz ono odęte — żadnéj już nie ma pomocy do przywrócenia mu życia.

Co widząc matka, upadła jak nieżywa i długo do siebie przyjść nie mogła.

— Nadzieja stracona! — powiedział lékarz.

— Ukój się dobra matko! — dodał proboszcz — Zmartwienie twoje syna nie przywróci. Bóg cię zasmucił, On cię rozweselić może.... Ufaj niebu, ono łaskawe a nieszczęśliwym pomocne!...

* * *

W okropnych męczarniach minęła noc i dzień następujący dla nieszczęśliwéj matki. Już słońce krwawo zachodziło na zachodniém niebie a jeszcze łzami zalana siedziała matka przy łożu nieszczęśliwéj ofiary, a tak była osłabiona, że niewiedziała czy żyje na świecie.

Przybył ksiądz proboszcz z lékarzem i mówi:

— Płacz pani dobrodziéjki nieszczęścia nie nanagrodzi.....

— Zmartwienie może sprowadzić nieochybną chorobę — dodał lékarz.

I ledwie zdołali wprowadzić skołataną matkę do drugiego pokoju. Tu jéj wskazali trumnę.

— Co robicie okrutni! — zawołała szczególném wzruszeniem — Alboż dziécię moje nie żyje?...

— Nie żyje! odrzekł ksiądz proboszcz.

— O nie, moje dziécię nie umarło!.. O, ono żyje i żyć będzie! Nie zabierajcie mnie téj pociechy!...

— Nie łudź się zacna matko! — powie ksiądz proboszcz — ale poddaj się woli Boga, bo dziécię twoje nie żyje!...

I upadła matka na kolana i przemówiła:

— Boże, wielkie są wyroki Twoje — ja się zgadzam z wolą Twoją najświętszą... Niech się stanie wola Twoja!... A jeżeli chcesz się zlitować, pociesz, bo Ty jesteś jedynie przyjacielem naszym!.... Teraz weźcie dziecinę i schowajcie jéj ciałko w zimną mogiłę!...

Idzie do łóżka, aby jeszcze widzieć oblicze najdroższéj słodyczy swojéj.

Stara piastunka ubiéra martwe ciało w białą koszulę i do trumienki kładzie, kwiatkami stroi i płacząc mówi:

— Już nie usłyszysz więcéj głosu mojéj piosenki, bo cię już więcéj kołysać nie będę. Włożyłam cię do trumny, w któréj ty mnie widzieć powinien byłeś... Spij luby aniołku, niech ci mogiła lekką będzie jak piórko.... ja wnet za Tobą pójdę do Pana!..

Po tych słowach znowu zemdlała matka. W chwili gdy niebawem przyszła do siebie, dwór cały otoczyli ludzie, zaczęto żałobne pieśni, poczém młodzi ludzie na ramiona wzięli odkrytą trumienkę.

Ruszył orszak pogrzebowy, zewsząd cisną się ludzie a płacz żałosny międza się z głosem jęczących dzwonów.

Skołatani rodzice szli piérwsi za trumną. Pani Stryjkowska nie spuszczała jéj z oczów. Patrzyła w nią ustawicznie. Wtém obaczyła, że martwe zwłoki w trumience zadrgnęły.

Na ten widok dziwnym wykrzyknęła głosem. Orszak stanął. Trumienkę złożono na ziemi; ciało chłopczyka powtórnie zadrgnęło. Matka porywa go z trumny a tuląc do piersi chce z nim uciekać do domu. Lékarz ją zatrzymał. Chłopczyk znowu okazał znaki życia; wszyscy ludzie w orszaku osłupieli, każdemu zdawało się, że to tylko złudzenie i nic więcéj.

Wtém lékarz kazał ludziom rozejść się do domów a z trumienką i chłopcem udano się do domu państwa Stryjkowskich. W ciepłém łóżeczku złożono chłopczyka; lékarz budzi go do życia i wszystkim spokojność nakazuje. Niebawem serce chłopczyka uderzać zaczyna, na blade policzki piękny występuje rumieniec, krew widocznie krążyć poczyna a siność ciała znikła zupełnie. Naraz wyciąga chłopczyk drobne rączęta, jakby chciał pocieszyć stroskanych rodziców, uśmiécha się czule i słodkiém głosem przemawia.

— O Boże w dobroci nieprzebrany! — zawołała matka — jakże Cię wielbić, jak Ci dziękować zdołam!..

Upadła na kolana, a łzy radości, co jak perły błyszczały na twarzy, rozwiały zmartwienie, które serce rozrywała.

W kilka dni znowu spokojni rodzice siedzieli na darniowéj kanapce, a wesoły chłopczyk bawił się na dziedzińcu. Jaka znowu była radość w Osostowie, każdy domyślić się może.

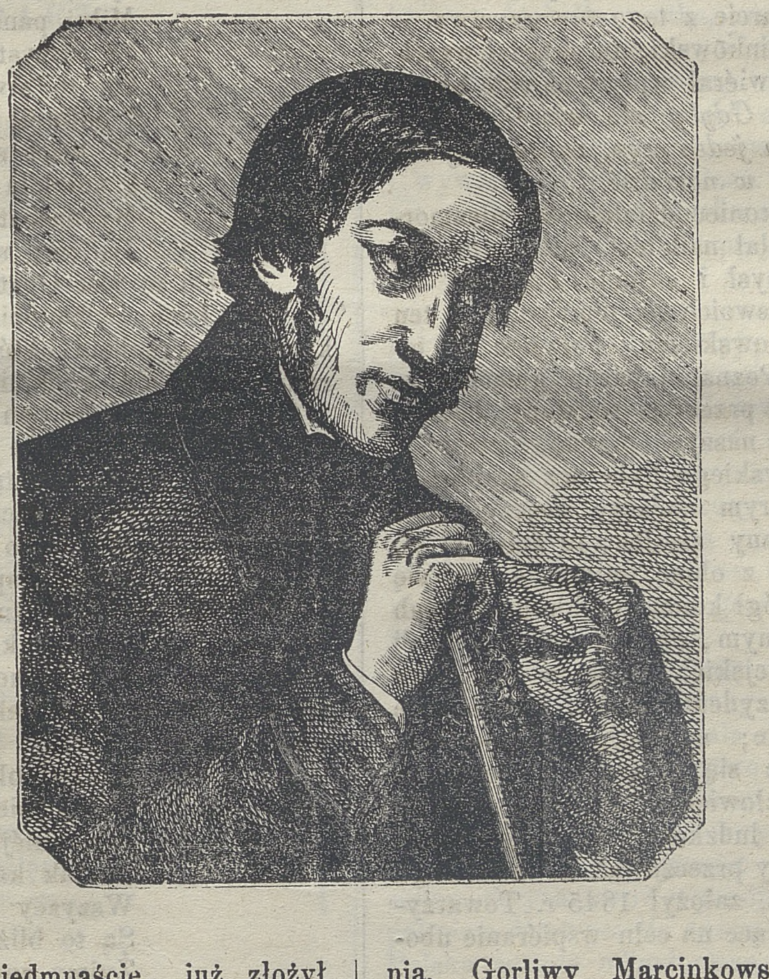
Chłopczyk znowu rósł w łasce u Boga i ludzi.

Bakałarz z Podgórza.

Karol Marcinkowski.

Do mężów, którymi się chlubi Wielkopolska i cała ziemia polska szczycić się może, należy niezaprzeczenie Karol Marcinkowski, ze względu na zasługi, jakie położył w swém życiu. Mało bowiem ludzi, którzyby tyle działali dobrego i tak wielką zajaśnieli szlachetnością serca.

Karol Marcinkowski urodził się dnia 23. czerwca 1800 roku na przedmieściu św. Wojciecha w Poznaniu z niezamożnych, ale bardzo poczciwych rodziców stanu mieszczańskiego. Jeszcze był bardzo młodym, kiedy utracił swojego ojca. Pozostała tylko matka z pięciorgiem dzieci. Troskliwa o ich wychowanie oddała ośmioletniego Karola do szkoły OO. Reformatów w Poznaniu, wiedząc, że już w młodziutkim wieku niepospolite objawiał zdolności, to też na drodze nauki pięknéj dostąpić może przyszłości. Dobry chłopczyna uczuwając swoje sieroctwo i niedostatek matki, uczył się nadzwyczajnie gorliwie, świetne robił postępy, w skutek czego ciągłe obiérał pochwały i nagrody. Była to niewymowna pociecha dla strapionéj jego matki. On ją téż cieszył niewypowiedzianie. Zaledwie liczył lat siedmnaście, już złożył świetnie popis dojrzałości ukończywszy miejscowe gimnazyjum. Zamierzył tedy oddać się zawodowi nauczycielskiemu, ale na przedstawienia dyrektora Kaulfusa, który znał znakomite jego zdolności, pojechał do Berlina, aby się kształcić na lékarza. Jednakże brakowało mu środków do utrzymania; poczciwy dyrektor wyrobił mu stypendyjum rządowe, ale młody Karol go nie przyjął, wolał utrzymywać się o własnych siłach. Dawał więc lekcyje po domach i trudnym tym zarobkiem zaspokajał potrzeby swoje na uniwersytecie w Berlinie.



Posiadając niepospolitą prawość charakteru i prawdziwie złote serce, przyciągnął do siebie wszystką młodzież. Każdy kolega szczycił się jego przyjaźnią i rzetelny okazywał mu szacunek. Marcinkowski i tu celował nauką, a chcąc w młodzieży rozniecić uczucia narodowe, założył towarzystwo zwiące się *Polska*, za co na pół roku skazany został do więzienia. Odsiedziawszy czas ten w Weichselminde, fortecy przy Gdańsku, wrócił 1823 roku do Berlina, gdzie otrzymał po złożonych egzaminach stopień doktora medycyny i chirurgii. Zaraz tedy pojechał do rodzinnego miasta Poznania na stałą siedzibę. Wkrótce zasłynął jako znakomity lékarz; brano go wszędzie, to téż powiększały się bardzo jego dochody. Ale téż umiał robić z nich użytek. Wspomagał chorych i w biédzie żyjących, a szczególnie wspiérał uczącą się a ubogą młodzież. W latach 1826 i 27 był lékarzem wojskowym, poczém zajął się urządzeniem szpitalu Siostr miłosierdzia.

W 1830 roku wybuchło powstanie w Warszawie. Karol Marcinkowski, kochający ojczyznę, pospieszył na pole bitwy i tak się odznaczył, iż go za męztwo obdarzono złotym krzyżem.

Niebawem w Memlu powstała cholera i okropne poczyniła spustoszenia. Gorliwy Marcinkowski udaje się tam na własne żądanie, aby przytłumić straszną tę zarazę. Wszystkie téż pisma oceniały znakomite jego prace i zabiegi, a miasto wystósowało dłań dziękczynny adres. Spytaj i dzisiaj mieszkańców Memla, a z chlubą i wdzięcznością o nim wspominać będą.

Później jeździł po różnych krajach i ciągle się uczył sztuki lékarskiej; ciągle zbiérał wiadomości.

Będąc w Paryżu, otrzymał złoty medal wartości 1.000 franków w nagrodę za udzielanie doktorom francuzkim rad i sposobów do leczenia cholery.

W 1834 roku wrócił do Poznania. Całe niemal księztwo wyruszyło na powitanie biegłego lékarza i tak wielkiego dobroczyńcy ludzkości. Oznaki radości i przywiązania nie miały końca. Znowu zajął się

obowiązkami swojego stanu; znowu był podporą ubogiéj młodzieży, opiekunem nędzy. Wkrótce wybuchła cholera w Poznaniu. Marcinkowski dał znowu nowe dowody swéj troskliwości i poświęcenia — wszędzie spieszył z radą i pomocą.

Właśnie po powrocie odsiadywał po dwakroć razy więzienie za to, że brał czynny udział w powstaniu polskiém. To jednak nie złamało na duchu dzielnego męża; nie przestał myśleć o przedsięwziętych projektach swoich. Myślał, aby po sobie trwalszą narodowi zostawić pamiątkę. Oto chciał zawiązać *Towarzystwo Naukowéj Pomocy*, albowiom uważał, że wiele młodzieży porzuca szkoły nie mając potrzebnych zasobów do utrzymania się w czasie pobiérania nauki. Towarzystwo tedy miało wyszukiwać pilną a ubogą młodzież i pomagać jéj w uczęszczaniu do szkoły, bo sądził, że dopóki nie wzrośnie u nas oświata, nie można się spodziéwać dobrobytu; trzeba dźwigać ciężar niedoli. Ale wykonanie tego, dla takiego męża, jakim był Marcinkowski, wcale nie było trudném zadaniem; umiał przemówić do serc współobywateli — i Towarzystwo Naukowéj pomocy wspólnemi siłami weszło w życie 1841 roku. Po sześciu latach istnienia rozszérzyło się ono po całém księztwie Poznańskiém, a do dziśdnia więcéj niż 2000 młodzieży otrzymało wsparcie z tego towarzystwa.

Duszą jego był Marcinkowski; tu skupiał wszelkie siły i niepospolity wywiérał wpływ na całe księztwo. Piszą więc o nim: *Gdyby nic więcéj nie był uczynił w swém życiu, ten jeden czyn, zapewniłby mu odznaczenie się znakomite w narodzie....*

Nie na tém jednak koniec działalności niezmordowanego męża. Rozmyślał nad tém, aby rozwinąć rodzinny handel i przemysł i skłonić Polaków do spróbowania sił swoich swoich na tém polu. I ten pomysł udał się Marcinkowskiemu. Przyjęto go jednogłośnie i założono w Poznaniu bazar, gmach okazały, obejmujący handel i przemysł rodzinny, będący ogniwem łączącym prace naszych przemysłowców.

Czynność Marcinkowskiego była bez granic; to spieszył do domu, w którym ubóstwo dręczyło swe ofiary, aby nieść pożądany zasiłek; to spieszył do chorych, aby ich wyrwać z objęć śmierci, a czuł się najszczęśliwszym, gdy mógł komu przynieść ulgę lub pomoc. Nadto będąc radnym, chodził najregularniéj na posiedzenia Rady Miejskiéj, a przez rok jeden sprawował obowiązki prezydenta miasta. Sam zaś nie zważał na swoje zdrowie; nadwątlonego nie miał czasu léczyć — zajmując się z zapałem ogromem przyjętéj pracy. Był to człowiek, który czas, zdrowie i pieniądze poświęcał dla ludzkości, ceniąc ją wyżéj niż samego siebie. I jakby przeczuwał, że niezadługo nastąpi zachód jego życia, założył 1845 r. Towarzystwo Dobroczynności, mające na celu wspiéranie ubogich i ciérpiących ludzi.

Zdrowie atoli Marcinkowskiego niszczyło się coraz bardziéj; zgryzoty ponoszone ze strony rodaków, iż nie pochwalał przygotowań do powstania w 1846 roku, jako niewłaściwego do odbudowania Polski, przyspieszyły zgon jego. Dnia 7. listopada 1826 zakończył chwalebny żywot we wsi Dąbrówce Ludomskiéj — bawiąc natenczas u przyjaciół swoich. Zwłoki jego spoczywają na cmentarzu w Poznaniu, gdzie nad grobem położono głaz ogromny.

Takie to było życie Marcinkowskiego, a czyny jego, nacechowane miłością téj ziemi, na któréj obaczył światło dzienne, jaśnieć będą do późnych wieków i stawiać go będą w rzędzie bardzo zasłużonych, wielkich a cichych mężów.

Pokój popiołom jego i cześć pięknéj jego pamięci!

A wy, kochani Czytelnicy, naśladujcie choć w części wielkiego męża, a zostawicie po sobie wdzięczność w sercach, piękną pamięć, a zasługa w niebie pewnie was nie minie!

Józef z Bochni.

KROTKIE NAUKI

o powinnościach człowieka.

I.

— Dla czego należy kochać pana Boga nadewszystko?

— Bo On nas stworzył, odkupił, oświécił i udziela nam wszystkich łask i dobrodziejstw.

Miłuj pana Boga Twego
Ze wszystkiego serca swego;
On to stworzył świat wspaniały,
I odkupił ród nasz cały;
W łasce swojéj nas oświecił,
I aniołom swoim zlecił,
By nas strzegli, pilnowali —
Bądźmy w cnocie więc wytrwali.

— Co to jest Opatrzność Boża?

— Jestto święta opieka Boga nad ludźmi i wszystkiemi stworzeniami, która zaopatruje ich potrzeby i ratuje w każdéj godzinie.

Kogo pan Bóg stworzy,
Tego nie umorzy;
Toż Opatrzność Jego święta
O wszyściutkiém tu pamięta;
Wszystko żywi, pielęgnuje —
Ludzi wspiéra i ratuje.

— Co to jest bliźni?

— Bliźni, jestto każdy człowiek. Kochać go należy jak siebie samego; nie czynić mu źle, ale owszem dobrze, tak jak chcemy, żeby nam drudzy czynili.

Kochaj bliźniego twego
Jak siebie samego;
Nie mniéj, tylko jako siebie,
Bo tak każe pan Bóg w niebie.
Wszyscy ludzie na téj ziemi
Są to bliźni, jakby krewni;
Żyjmy zawsze w zgodzie z nimi—
Łaski Bożéj bądźmy pewni.

— Czy należy kochać swoję ziemię?

— Należy, bośmy się na niéj urodzili, z jéj zbóż i owoców mamy pożywienie; w niéj po śmierci będziemy pochowani.

A więc niechże każdy wierzy —
Kochać ziemię swą należy.
Owoż kochaj ojca, matkę
I rodzinną twoję chatkę;
Kochaj pola, lasy, skały
I ten polski kraj nasz cały!

— Czy trzeba pracować?

— Trzeba, bo pan Bóg wygnawszy za grzéch piérworodny piérwszych rodziców z raju, skazał ich na pracę, mówiąc: *w pocie czoła na chléb pracować*

będziecie. Ale kto pracuje, ten sobie szczęście gotuje, a próżniactwo rodzi biédę i tułactwo.

Na kawałek chleba
Ciężko robić trzeba;
Nic darmo nie przyjdzie...
Kto z chęcią pracuje,
Sam nie będzie w biédzie —
I bliźnich ratuje.

— Czy się uczyć należy?

— Tak jest, bo kto się uczy, nie jest jako nierozumne zwiérzę, ale świątobliwy, obyczajny i wychodzi na uczciwego i rozumnego człowieka.

Nauka ludzi zdobi,
Dobrego wiele robi;
Rozum, serce oświéca,
Szczęście w chatach roznieca,
Udziela ludziom rady,
By nie miele zawady;
Nauka czyste złoto —
Uczmy się więc z ochotą!

W. A.

KALENDARZ.

Sierpień ma dni 31.

	Dnie.	Święta Rzymskie.
1	Poniedziałek	Piotra w okowach, męcz.
2	Wtorek	N. P. M. Anielskiéj.
3	Sroda	Znalezienie św. Szczepana.
4	Czwartek	Dominika wyz.
5	Piątek	N. P. M. Śnieżnéj i Grzegorza
6	Sobota	Przemienienie Pańskie.
	Ewangelia u Łuk. św. w rozdziale 19. O zburzeniu Jerozolimy.	
7	Niedziela	9 po Swiąt. Kajetana, wyz.
8	Poniedziałek	Cyryjaka, męcz.
9	Wtorek	Kamila z Lellis, wyz.
10	Sroda	Wawrzyńca, m. i Filomeny p.
11	Czwartek	Zuzanny panny, męczen.
12	Piątek	Klary, panny.
13	Sobota	Wigilija. Hipolita, męcz.
	Ewangelia u Łuk. św. w rozdziale 18. O Faryzeuszu i Celniku.	
14	Niedziela	10 po Swiąt. Euzebii, męcz.
15	Poniedziałek	Wniebowzięcie N. M. P.
16	Wtorek	Rocha, wyz.

Przegląd polityczny.

Złowieszcza nowina przebiegła po całéj naszéj ziemi. Césarz Napoleon wypowiedział wojnę królowi pruskiemu. A z jakiego powodu, zaraz Wam wytłómaczymy. Wiécie zapewnie, że Hiszpanie wypędzili swoję królowę Izabellę z kraju, i od roku daremnie szukają między książętami Europy nowego króla. Jeden z książąt nie cche przyjąć korony z różnych tam powodów — drugi nie chce nic czynić bez zezwolenia innych mocarstw. Niebawem udała się deputacyja do księcia Leopolda Hohenzollern, brata księcia rumuńskiego, a blizkiego krewnego pruskiego króla. Książe Leopold przyobiecał przyjąć koronę. Césarz Napoleon upatrując w tém złe dla swojego państwa, wydał królowi pruskiemu wojnę, jakoby on był przyczyną, iż książę Leopold przyjął koronę.

Królowa Izabella, wypędzona z Hiszpanii, a żyjąca obecnie we Francyi, poznawszy, iż już nie ma nadziei odzyskania tronu, postanowiła zrzéc się go na korzyść syna swego Alfonsa. Przywoławszy do siebie matkę swoję Krystynę, byłą królowę Hiszpanii, przyjaciół i posła francuzkiego, podpisała następujący dokument:

— Ja Izabella II. itd. itd. oświadczam, iż z własnéj woli ustępuję i przenoszę na syna mego Alfonsa wszystkie moje prawa do tronu, nie pragnąc zachować nad nim, jak tylko rodzinne prawa matki i opiekunki....

Wszyscy obecni podpisali ten dokument. Według hiszpańskiego zwyczaju odbyła się jeszcze ceremonija, zwana ucałowaniem rąk. Królowa Krystyna, babka, książęta i księżniczki ucałowali na znak uszanowania po kolei ręce dziécięcia Alfonsa, na rzecz którego Izabella, matka, zrzekła się tronu.

Bóg jeden raczy wiedzieć jak się ta sprawa załatwi. Tymczasem ma się toczyć wojna. Gazety wiédeńskie upominają rząd austryjacki, aby nie okazywał nieufności ku Moskwie, aby jéj nie irytować i wywoływać wilka z lasu. Przestroga ta wypływa nie z obawy przed Moskwą, która mniéj jeszcze jak Austryja do wojny jest przygotowaną, ale z pragnienia pokoju.

Gazeta wychodząca w Peszcie pisze: My Węgrzy zawarliśmy z Austryją sojusz (zgodę), mamy prawo żądać, aby Austryja uważała się za państwo osobne, a nie za część składową Niemiec, aby trzymała się polityki państwowéj a nie plemiennéj, mianowicie w chwili, gdy zwycięztwo polityki plemiennéj grozi Austryi. Jeżeli Prusy wygrają, Austryja będzie narażoną; jeżeli zostaną pobite, rzucą się w objęcia Moskwy, a wtedy jeszcze mocniéj będziemy narażeni. — Żąda więc owa gazeta neutralności (bezstronności) zbrojnéj.

Gazeta prymasa węgierskiego, umieściła artykuł o wojnie tak zakończony: Wojna, któréj grzmot okropny obija się zdala już o nasze uszy, da, jak tuszymy, zwycięztwo najświetniejsze największemu narodowi katolickiemu (Francyi), a pragniemy, aby owocem tego zwycięztwa było zepchnięcie Prus i Moskwy w granice skromne, i aby tym sposobem dotychczasowy pokój zbrojny zastąpiony został pokojem istotnym i onego błogosławieństwem, aby Polska została odbudowaną, i tym sposobem Europa a przedewszystkiém państwo św. Szczepana dostało trwałe przedmurze od despotyzmu moskiewskiego. Tego się spodziéwamy. Pan Zastępów będzie sądził walczących....

Sejm Galicyjski będzie prawdopodobnie zwołany w piérwszych dniach przyszłego miesiąca, aby wybrał posłów do Rady państwa do Wiédnia w celu narady nad obecném położeniem Austryi z powodu wojny.

Mówią, że w Królestwie Polskiém nagromadza rząd moskiewski dużo wojska; nie wiadomo komu chciałby pomódz, czy Prusakom czy Francuzom?

Na Wschodzie w Azyi jest bardzo wielkie państwo, jeszcze pogańskie, nie zna naszego Boga, a nazywa się Chiny. Otóż tam chcieli księża Misyjona-

rze francuzcy zaprowadzić religiję chrześcijańską, ale w jedném mieście mieszkańcy poganie się zburzyli i księży i innych mieszkających Francuzów wymordowali.

ROZMAITOŚCI.

Dnia 18. 19 i 20 lipca odbył się walny zjazd Towarzystwa pedagogicznego, do którego, jak wiécie, należą pedagogowie czyli nauczyciele i inni panowie, w Kołomyi na Pokuciu, ziemi już blizko Bukowiny położonéj, sławnéj urodzeniem Franciszka Karpińskiego, którego pieśni śpiéwają ludzie w kościołach jak Polska długa i széroka.

Przemawiali tam różni panowie, a między nimi i były administrator dyecezyji lubelskiéj, ks. Sosnowski, obecnie proboszcz w Kołomyi. Gdy sędziwy ten starzec, natenczas dopiéro dzień trzeci w swojéj parafii będący, mówił do zgromadzonych, porównywując stan nauczycielski z kapłańskim i udzielając swojego błogosławieństwa — wszystkim stanęły łzy w oczach.

Przybyłych gości przyjmowano w Kołomyi bardzo gościnnie i serdecznie, za co i tutaj należy mieszkańcom grodu nad Prutem serdeczne złożyć podziękowanie. Zjazd ten był dowodem łączności i zgody między Rusinami z Wschodniéj Galicyi i Polakami, jak to wykazał pewien profesor w przemowie ruskiéj na pożegnanie.

Podczas tego zjazdu była także wystawa rzeczy szkolnych, na któréj różności były do widzenia, a nawet i prace uczniów, z różnych szkół naszych nadesłane.

Przyjaciel dzieci i młodzieży, wychodzący rok drugi w Poznaniu pod redakcyją J. Chociszewskiego, poleca się usilnie jako dobre i tanie pismo. Od 1. Kwietnia 1870 r. wyszło 8 numerów, zawiérających 64 strony i *36 pięknych obrazków.* Przedpłata do końca bieżącego roku wynosi dla Rodaków w Galicyi tylko 1 złr. za co się prześlą franko tak dotychczasowe, jak i późniejsze numery. Przedpłatę przyjmuje Redakcyja „Włościanina“ w Krakowie (ulica Gołębia wyższa Nr. 169. — II. piętro), albo też redakcyja pod adresem:

J. Chociszewski. Poznań.

Pożyteczne książki dla Ludu i Młodzieży po nader zniżonych cenach!

1. *Dzieje Narodu Polskiego* przez Chociszewskiego 202 str. i *63 obrazki.* Cena 30 centów. Dziełko to poleciła Rada Szkolna Krajowa, oraz różne pisma polskie, jak i Włościanin.

2. *Śpiéwy historyczne* Niemcewicza z 15 obrazkami i z chronologiją polską. 25 centów. Za obydwa dziełka razem tylko 50 centów, za co się franko posyła.

3. *Katolik* z r. 1868 i 69. Zawiéra 188 str. w dużym formacie i 73 pięknych obrazków. 35 centów.

4. *Powieści i Podania ludowe.* 128 str. 25 cent. Razem za te dwie książki 50 centów.

5—6. *Sybir.* Pamiętniki Polaków z pobytu na Sybirze. Część I. zawiera pamiętniki Karola Chojeckiego, a część II. dziennik podróży Kopcia. Książki te są nader zajmujące. Cena pojedyńczo za każdą 30 cent. razem za obydwie 50. centów.

7. *Przyjaciel dzieci i młodzieży* z r. 1869 (Rok I.) w wielkim formacie. 100 str. i *53 obrazków.* 30 cent.

8. *Trzy nauki gospodarskie* Łyskowskiego. Dziełko dla rolników nader pożyteczne. 15 centów. Razem za 7 i 8 numer 40 centów.

9. *Cudowny Lékarz.* Powiastka Wielkanocna. 15 c.

10. *Sebastyjan Klonowicz.* Powieść. 15 cent. Razem za 9 i 10 numer 25 centów.

11. *Łamigłówki* dla dzieci zaw. zagadki, szarady, zadania rachunkowe itd. z licznemi obrazkami. Dziełko dla dzieci nader zajmujące; 10 cent.

12. *Książeczka Abecadłowa* ze zwiérzętami dla dzieci, zawiérająca 27 obrazków zwiérząt. 10 centów z oprawą.

Wszystkie te książki za podane ceny przesyłuje się już franko. Ktoby wszystkie 12 książek kupił, ten płaci nie 2 złr 70 c., ale tylko 2 złr. a prócz tego dodaje się jeszcze jedna lub dwie książki (np. Flis Klonowicza, Szkółka Niedzielna, Tomik Biblijoteki Ludowéj Paryskiéj itd.), lecz przesyłka na koszt przesyłającego. Za 10 złr. udziela się z każdego dzieła po 6 egz. a prócz tego 8 innych książek w dodatku, czyli 80 książek, a zatém wypada książka po 12½ centa. Jestto zatem bajeczna taniość, dla tego zapewnie liczne będą z Galicyi zapisy. Zniżenie to cen trwa tylko do *1 Września b. r.* Dla ułatwienia drobniejszych mianowicie zapisów ofiaruje pośrednictwo Redakcyja Włościanina (ul. Gołębia wyższa Nr. 169 II. piętro). Dla daléj od Krakowa mieszkających najlepiéj wprost zapisywać pod adr.

J. Chociszewski. Poznań.

Przy sposobności polecamy również usilnie wychodzący we Lwowie *Dzwonek,* pismo dla ludu z rycinami, kosztujące rocznie tylko 2 złr. półrocznie 1 złr. za co przesyła się *franco.* Najlepiéj pieniądze przesyłać za przekazem pocztowym. Pismo to bardzo pięknie redaguje p. Kazimirz Okaz, znający dokładnie potrzeby ludu.

Jutrzence, wychodzącéj w Kołomyi pod redakcyą p. M. D. Wąsowicza życzymy jak najlepszego powodzenia i radzibyśmy byli, aby wielu miała prenumeratorów bo jest dobrém pismem.

Odpowiedzi na listy.

P. J. M. w Łączkach, poczta Frysztak. Takiéj książki za tę cenę nie ma — jest *lékarz domowy* i *aptéczka,* lecz kosztuje 85. cent.

Ks. T. J. w Jabłonkowie. Nadesłanym listem cieszymy się bardzo; uwzględniamy prośbę i przesyłamy tymczasem I rocznik Włościanina. Więcéj zrobimy później.

Redaktor odpowiedzialny: *Józef Chmielewski.*

Wydawca S. Jordan. W Drukarni W. Jaworskiego w Krakowie.